

Stanisław Michaluk /zm. w maju 1994 r./

relacja nagrana przez M. Giżejowską w maju 1993 r.

Do Augustowa dostałem się w 1946 r. Ja, jako łącznik - zebrałem ok. 45 AK-owców z czterech miejscowości i przeszliśmy granicę. Ja prowadziłem, bo znałem wszystkie drogi i ludzi miejscowych i jeszcze tu ich wszystkich porozmieszczałem. Pod rodze nikt nas nie zaczepiał. Myśleliśmy, że w Polsce będzie bezpieczniej, ale z czasem było strasznie.

W Augustowie, w 1946 r. ujawniłem się i zacząłem pracować w "Społem". W grudniu 1948 r. jak przyszedłem do pracy ~~konkretny~~ przyszedł woźny z referatu wojskowego i przyniósł mi wezwanie - czy należę do RKW, czy coś takiego. Wój wspólnik ze zmiany mówi mi: "idź teraz rano /to była sobota/, bo dziś będzie tu dużo ludzi i sam nie dam rady". Poszedłem więc do referatu wojskowego, do komendanta Żółtka. Wychodzę od niego, a tu już dwóch UB-owców z pistoletami czeka na mnie. Mówią: "Pozwoli pan z nami". Zaprowadzili na milicję, kazali zdjąć pasek, oddać klucze od magazynu, w którym pracowałem. Pytałem za co, ale o ni nic nie odpowiedzieli. Prawie mnie nie badali. Wsadzili do celi jednoosobowej. Papierosy zabrali, więc zapaliłem papierosa i jedzenie też cały dzień nie dali. Wieczorem usłyszałem z korytarza, że do sąsiedniej celi wprowadzili Janka /brata - przyp. MG/. Tam było ich kilku. Przetrzymani nas całą niedzielę. W poniedziałek skuli kajdankami i zawieźli do Grajewa /nie chcieli, żeby w Augustowie nas widzieli/, a stamtąd pociągiem do Białegostoku na UB. Tam nas przesłuchiwali, pytali, gdzie są ci, którzy z nami przeszli granicę. Odpowiadałem, że nic nie wiem. Trochę mnie bili, ale nie za wiele. Po Świętach Bożego Narodzenia mnie i Janka wezwali do siebie polska straż pograniczna i tam nas przetrzymywali. A badał nas pułkownik rosyjski. Nasz, Polacy, mówili, że gdyby nie on, to może by nas wypuścili.

Z Białegostoku ze sztabu pogranicznego powieźli nas do Kuźnicy - na granicę. Było to akurat w Sylwestra. Tam przyjechała po nas ruska straż pograniczna z Grodna. Nasi polscy pogranicznicy nie mieli prawa przechodzić przez granicę, ale Rosjanie - do nas mogli. Otoczyli nas psami i zawieźli do Grodna. Po Nowym Roku zaczęli nas wzywać na przesłuchania. W celi było jeszcze dwóch - jeden z Białegostoku i jeden chłopak, który wiozł siano z Grodna do Białegostoku i tam go złapali.

Mnie jeszcze w Augustowie zabrali 3 tys. zł i w Białymstoku porucznik UB mi je oddał, żebym sobie coś kupił, bo w Rosji nie będzie można. To myśmy jeszcze na granicy zdążyli nakupić papierosów i kiełbasę. Udało się to nam przemycić do Grodna. Poczęstowałem w celi tych dwóch, bo karmili nas tylko raz dziennie jakąś zupą i dawali 300 g gorzkiego chleba z owsianej mąki.

Na przesłuchaniach znowu pytali, gdzie jest ta reszta, która przeszła granicę i gdzie schowałem broń. Tam mnie też bili. Ja wiedziałem, gdzie jest ta broń schowana, ale potem inni ją przenieśli w inne miejsce. A UB-owcy wszystko zwalili na Janka - że to on był ostatni w tej kryjówce i wie, gdzie to jest.

W KPZ przesiedzieliśmy 11 dni, potem zawieźli do więzienia. Zrobili rewizję, zbadali, ale znaleźli wszy i do więzienia nie przyjęli. Zabrali nas do łaźni, do prożarki i dopiero na drugi dzień przyjęli do więzienia. Na śledztwo wozili nas samochodem do innego miejsca. 8-go marca 1949 r. była sprawa: moja, Janka i Waszkiewicza. Zasadzili na 25 lat, przywieźli do celi i po wszystkim.

Dopiero w lipcu czy sierpniu zabrali nas do transportu - stółpnikami. Wsadzali po 25 do jednego przedziału, a upał był okropny. Dusiliśmy się tam, krzyczeliśmy o wodę, ale dopiero na stacjach dawali trochę pić.

Przywieźli nas do Orszy, wysadzili, obstawili psami. Tam tylko przenocowaliśmy. Strasznie dużo ludzi tam było - można było tylko stać.

Do Moskwy dowieźli nas do Krasnej Preszni /?/. Wozili nas cały dzień zamkniętymi samochodami z napisem "Chleb". W środku siedziało 25 ludzi, a taka gorączka była, że buty miałem pełne potu. Myśleliśmy, że się tam wykończymy. Dopiero na wieczór przyjęli nas do jakiegoś więzienia /inne były pełne/. W Moskwie była segregacja - gdzie kogo wysłać. Siedzieliśmy tam ok. 2 tygodni, potem znowu pociągiem do Kujbyszewa. Tam byliśmy bardzo długo. Mieli nas ~~stamtąd~~ zawieźć do Czelabińska, ale tam była jakaś choroba i z powrotem odwieźli do Kujbyszewa. Po tygodniu - do Nowosybirska, Irkucka - tam parę dni "odpoczywaliśmy", i dalej - do Chabarowska i do Buchty Wanino.

W Wanino było ok. 40 tys. ludzi. Co tam się działo! Zabijali jedni drugich, rabowali. Niektórzy spali pod gołym niebem - jeszcze było ciepło. Jesienią zrobiło się zimno, deszcz lał, a baraki były bez dachu.

Do Magadanu przywieźli nas 3-go grudnia. Statek musiał już łamać lód i zamiast 7 dni płynęliśmy 9. Statek nazywał się "Bałchasz". Mówili, że na statku było nas 7 tys.

W kabinach statku, oprócz więźniów /politycznych i kryminalnych/ wieźli też mąkę. Kryminalni dostali się do tej mąki, rozrabiali ją z wodą i jedli. Frowiant był przeznaczony tylko na 5 dni, a my płynęliśmy prawie dwa razy dłużej. Zostały tylko czarne suchary, wośda się skończyła, więc jak te suchary pęczniały w brzuchu, to ludzie nie mogli się ruszać. W Magadanie prawie nikt nie mógł ustać na nogach - jeden drugiego ciągnął na kolanach.

Jak nas gnali przez Magadan, to wolni mieszkańcy rzucali w nas papierosami. Dognali nas do obozu, dali coś do jedzenia. Trochę chorowaliśmy, ja - z przemoczenia.

Potem byłem w następujących obozach:

Kanion - wydobywaliśmy tam rudę kobaltu. W tym obozie byliśmy razem z bratem, ale niedługo. W kopalni pracowałem krótko. Potem wzięli setkę ludzi i kazali rąbać i wozić drzewo z lasu /12km od obozu/

- na opał do obozu. Na sześciu ludzi trzeba było przywieźć metr drewna. Jak się tyle nie przyiozło, to się dostało pół pajki chleba. Drzewo - to był modrzew /ślannik/ - bardzo zmarznięty i twardy. Ta praca trwała 2 tygodnie. Wróciłem do kopalni, ale potem mnie zabrali do fabryki - na blacharza. Pracowałem tam, dopóki mnie nie wywieźli na Ares. A brata dużo wcześniej wywieźli /razem z dwoma braćmi Nowakami z Baranowicz/- na Elegen.

Do Aresu wywieźli mnie w 54 r. / to jest niedaleko Arkagały/.

W blacharni w Kanionie brygadierem był Ukrainiec, nawet mi pomagał. Przyszedł następny i zrobił mnie magazynierem tej blacharni. Robiłem tam różne rzeczy: kubeczki z pudełek od konserw, brzytwy i za to coś się dostawało - nawet pieniądze. Wysyłałem nawet pieniądze do domu - do matki, bo ojciec był chory, a druga siostra mała /Marysia była już w obozie/. W Kanionie zamknęli fabrykę i kopalnię, bo ruda się wyczerpała.

W Aresie była kopalnia węgla kamiennego. Pracowałem w niej rok. Wtedy już nam płacili. Po roku dostałem nadciśnienia i lekarze wysłali mnie do Miaundży. /czyli elektrowni, którą nazywano D-2/. A przedtem jeszcze przenieśli mnie do kotłowni, gdzie była jeszcze gorsza praca niż w kopalni - gorąco i pył. Zachorowałem tam na pylicę i do dziś na to choruję.

Z Aresu wszystkich zwalniali /na wolność/, a nas nie, bo podobno nasze dokumenty poszły do Warszawy /był to 1956 r./ i wszystkich Polaków zawieźli do Miaundży, a potem do Czau-bani /Janka zostawili na D-2/. Tam pracowaliśmy na złotym pryisku.

A wtedy było powstanie w Poznaniu i nie wiedzieli co z nami zrobić. W końcu nas pozwalniali, ale wyjazdu grupowego już nie zorganizowali. Każdy musiał na własną rękę starać się o wyjazd.

W Czau-bani ja byłem ślusarzem, a Reniek<sup>2</sup> spawaczem - układaliśmy i spawaliśmy rury do płukania złota; to były tzw. "dragi" - amerykańskie.

Pewnego dnia wywieźli nas na zgrupowanie Polaków do Susumanu, a stamtąd na komisję do Jagodnego. Polaków było ok. 100 ludzi. Brali po dwóch ludzi i wypytywali - przy czerwonym stole, a potem mówili, że taki a taki oskarżony jest zwolniony. Zaraz~~ł~~ potem podawali rękę i <sup>wcześnie mieli</sup> mówili per "towarzyszu". Przedtem nie mieliśmy prawa się tak do nich odzywać, tylko - "grażdanin naczelnik" czy inny pułkownik. Z powrotem powieźli nas do Susumanu, tam kazali podpisywać różne papiery, że się wszystko zdało /ubranie, naczynia itp./. Poza tym mówili, żeby nógdzie nic nie mówić, gdzie się było i jak było, bo "przyjedziesz tu z powrotem". Wypłacili nam pieniądze, kazali wyrabiać paszporty sowieckie, ale myśmy ich nie wzięli, bo chcieliśmy wyjechać do Polski. Dopiero w Magadanie musieliśmy je wziąć, bo inaczej nie wyjechalibyśmy. To dotyczyło Polaków nie tylko z grodzieńszczyzny, ale wszystkich. Był ksiądz z Warszawy - Stankiewicz - on też musiał wziąć sowiecki paszport.

Z Susumanu do Magadanu pojechaliśmy samochodem w 16-tu /wg Jana - Polaków było ok. 30-tu - przyp. MG/. Nie wszyscy przyjechali do Magadanu. Część została - nie wiem dlaczego.

Nie pamiętam nazwy statku, którym wracaliśmy. Wiem tylko, że w tę stronę bardzo chorowałem na chorobę morską, bo był sztorm.....